

GDY UCICHNĄ MIASTA

Fragment

Katarzyna M. Jurkowska

ROZDZIAŁ 1

Hałas miasta. Buzujące wielopasmowe ulice, zapchane ludźmi chodniki, jazgot rozpieszczonych dzieci wracających ze szkół i przedszkoli ze zmęczonymi rodzicami. Bezdomni ukrywający się przed skwierczącym, letnim żarem w przydrożnych krzakach, między jedną ruchliwą ulicą a drugą. Gorąca fala wydobywająca się spod tramwajów i owiewająca zgrzane, spocone twarze. Przepełnione metro zatrzymujące się ociężale i wypełniające przygniecionymi siedzącym trybem życia urzędnikami. W urzędach endorfiny się nie uwalniają. Tam z wyjścia do toalety robi się wyprawę na Mount Everest. Każdy pieczołowicie delektuje się tą wyprawą.

Ale hałas miasta to nie tylko duszący, zgniatający ciężar. To także przyjemne momenty, jak na przykład, gdy sąsiad na starym osiedlu ćwiczy grę na saksofonie albo gdy dzieci bawią się w chowanego, zupełnie jakby doba komputerów nie zrujnowała pokolenia przed nimi. Do przyjemnych dźwięków miasta zaliczam też krystaliczny szum spryskiwaczy, które nawadniają wysuszoną ogrodową trawę lub krople deszczu opadające hipnotyzująco na liście drzew. Ćwierkot małego, energicznego ptaszka w niedzielny poranek, gdy cały świat nadal tonie w niewinnym śnie.

Hałas miasta – uwielbiałam go i nienawidziłam jednocześnie. Były dni, gdy nie mogłam znieść powrotów ze szkoły. Wybierałam najrzadziej uczęszczane chodniki i tramwaje nawet kosztem szybszego przedostania się do domu. Unikałam wielkich galerii handlowych w tygodniu, mając już po dziurki w nosie tłumów w szkole. Omijałam ulice w piątkowe i sobotnie wieczory, kiedy całe miasto wylegało do knajp, imprezowni i na bulwary nad rzeką. Ludzie hałaśliwie domagali się wtedy tego, co według nich im się należało – wolności piątkowej i sobotniej nocy, możliwości robienia wszystkiego, także rzeczy zakazanych na co dzień, porzucenia wszelkich zasad i regulaminów, konwenansów czy dobrych manier. Tak wyglądały piątki i soboty, nim wszystko trafił szlag.

Nie zawsze byłam tak negatywnie nastawiona do otaczającego mnie świata, do ludzi. Zanim osiągnęłam piętnasty rok życia, świetnie bawiłam się w gronie bliższych i dalszych przyjaciół. Jak to mówią, „młodość ma swoje prawa”, i ja skrzętnie z nich korzystałam.

W pewnym momencie coś się zmieniło. Zaczęłam dostrzegać wady – ludzką ignorancję, niechlujstwo, egoizm – gdy tylko rzeczywistość odrobinę poluzowała smycz. Zaczęło mnie to kłuć w oczy, denerwować. Przechodziłam obok takich zachowań nieobojętnie, lecz bez zatrzymania. Co może zrobić człowiek drugiemu człowiekowi za rzucenie na trawę opakowania po papierosach, upięcie psa przed sklepem w pełnym żarze, zostawienie papierowego kubka na ławce w parku, choć kosz na śmieci znajduje się zaledwie metr od niego? Można zwrócić uwagę. Ktoś się zawstydzi i wyrzuci ten jeden raz kubek do kosza, ktoś zbluzga od góry do dołu, bo on wie lepiej, gdzie przypinać swojego zgrzanego psa. To krople w morzu zmian. A zmiany przychodziły za wolno. I był to zaledwie fragment ludzkiej ignorancji, a także samozachwyty, z którym mój gatunek tak bezwstydnie się obnosił, wyciskając z tego świata ostatnie soki.

Chciałabym móc powiedzieć, że natura znalazła na to sposób, że dała ludziom porządną naukę. W końcu bywa okrutna, potrafi się mścić i wie, jak odbierać to, co do niej należy. Ale gdy ludzkość wyciągnęła i odbezpieczyła jedną z najgroźniejszych broni, jakich mogła użyć przeciw sobie i przy okazji przeciw światu, natura nawet nie

drgnęła. Pozwoliła ludziom uśmiercić miliony przedstawicieli swojego gatunku, a nawet zetrzeć z powierzchni ziemi połacie lasów, łąk, wysuszyć niektóre rzeki i jeziora. Świat, jaki znałam do piętnastego roku życia, przestał istnieć w przeciągu paru miesięcy. Natura patrzyła na to wszystko ze spokojem i cierpliwie czekała.

ROZDZIAŁ 2

W kwietniowy czwartek 2023 roku, jako zwyczajna licealistka, siedziałam na lekcji angielskiego. Moim największym zmartwieniem było to, jaką sukienkę wybrać na zbliżającą się imprezę. Zaprosił mnie starszy kolega, a ja nie mogłam przestać myśleć o wspólnym wyjściu. Do tego chłopaka wzdychało pół szkoły, więc to była wielka sprawa!

Najpierw dumałam o sukience, a chwilę później wokół mnie... Wystarczyły minuty, by wokół rozszalał się chaos. Hałas, niepokój i wielka panika.

Około jedenastej zawyły pierwsze syreny. Wszyscy myśleli, że to ćwiczenia. Miasto często robiło takie próbne wycia. Syreny zawyły jednak ponownie, piętnaście i dziesięć minut później. Nauczycielka zupełnie straciła naszą uwagę.

Byłam jedną z osób, które siedziały w ławce przy oknie. Gdy wychyliłam głowę na zewnątrz, na jedną z głównych ulic – zazwyczaj zapełnioną sznurkami aut i tramwajów, a także tłumem przechodniów – ujrzałam spanikowanych ludzi uciekających na wszystkie strony.

Do sali wpadła inna nauczycielka i nakazała wszystkim zbiec do piwnic. Szkoła mieściła się w starym budynku o mocnych fundamentach.

Bardzo szybko załapałam, że z hasłem „schron w piwnicach” wiązała się jakaś grubsza sprawa, prawdopodobnie nalot. Od lat mówiło się o napiętej sytuacji na arenie politycznej, ale nic nie zwiastowało realnej sprzeczki z użyciem bomb. Moją teorię o nalocie bardzo prędko potwierdził wielki huk, a za nim drżenie ścian i roztrzaskujące się szyby. Piski rozlały się po korytarzach wypełnionych zbiegającymi do piwnic uczniami. Przekrzykiwał je dyrektor, tubalnym głosem ponagляjąc młodzież i nauczycieli. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy: w ciągu kilkunastu minut postarzał się o dziesięć lat.

Jestem córką wojskowego. Mój tata nie krył przede mną i moim rodzeństwem znaczenie słowa „wojna” i idących za nim konsekwencji. Nie szczędził nam opowieści z wyjazdów do Iraku czy Afganistanu, choć zdarzały się takie misje, o których nie chciał mówić. Jego opowieści były nienachalne, ale dobitne. Ujawniał w nich całą niszczycielską prawdę o wojnie i nadmiernej żądzy. Wszystko po to, by jego dzieci wiedziały, do czego może doprowadzić brak hamulców. Dziś wiem, że przygotowywał nas do tej wojny.

Nam, nastolatkom, wydawało się, że już zawsze będziemy żyć w harmonii, mając własne pokoje, comiesięczne kieszonkowe, wypasionego smartfona, dostęp do dwudziestu smaków lodów, sklepy pełne różnorodnych ubrań i perspektywę nieustającego *chillu*, trwania w ulepionych i utwardzonych zasadach. Słyszeliśmy o wojnie w Syrii, o konflikcie w Iraku czy na wschodzie Ukrainy, o zapaści w Wenezueli. To jednak były zbyt odległe rejony, poza obszarem naszej wyobraźni. A mój tata doskonale rozumiał zasadę powtarzalności, która kierowała światem. Bardzo brutalną zasadę.

Może właśnie dlatego żyję?

Byłam córką swojego wojskowego ojca, który zawsze powtarzał, że musimy trzymać się razem. W sytuacjach awaryjnych wszyscy mamy wsłuchać się w „domową syrenę” i kierować do naszego mieszkania na Żoliborzu, bez względu na wszystko. Gdy tak czasem mówił, ze śmiertelnie poważną miną, śmiałam się, że mogłby pisać scenariusze filmów katastroficznych.

Ależ ja byłam durna.

Będąc córką swego ojca, nie zeszłam za koleżankami i kolegami do piwnicy. Korzystając z nieuwagi dyrektora, bez zastanowienia pchnęłam ciężkie drzwi wyjściowe i wybiegłam na ulicę. Towarzyszyła mi moja koleżanka, Weronika, która nigdy nie podążała za tłumem. Uznała, że mam rację: lepiej być z rodziną. Mieszkała kilka ulic dalej, miała blisko. Rozstałyśmy się na chodniku przed szkołą – otoczone krzykami ludzi i piskiem opon. Wtedy mignął mi przed oczami pierwszy, uzbrojony żołnierz w mundurze polowym. W hełmie, ciężkich butach, z bronią... Do tej pory widywałam ich tylko na paradach z okazji dnia Wojska Polskiego. Żołnierz tylko z ubrania przypominał tego z parady, a jego broń na pewno nie była paradna. Wtedy też po raz pierwszy zobaczyłam spadający z nieba pocisk. Nie było samolotów. Bomba spadła z nieba, na starą kamienicę po drugiej stronie ulicy. W ostatniej chwili skryłyśmy się z Weroniką za kamiennym murkiem, wciskając głowy w tułowia i zakrywając je rękoma. Weronika pożegnała się szybko i uciekła w stronę swojego domu. Przyglądałam się przez chwilę jej powiewającej na wietrze szarej sukience. Nie zobaczyłyśmy się już więcej.

Nie czekałam na kolejną bombę. Kiedy wychylałam głowę zza murku całe ciało drżało z przerażenia, nogi miałam jak z waty. Musiałam zebrać się do kupy i ruszyć w stronę mostu. Żyłam w dobie filmów, które pobudzały wyobraźnię. A ta pozwalała wykreować w głowie obraz niedalekiej przyszłości: zablokowane ulice, nieprzejezdne mosty, godziny policyjne. Mnie, jako nieletnią, umieszczą w jakiejś ochronce, zorganizowanej naprędce w szkole. Z dała od rodziny.

Nie, nie mogłam na to pozwolić.

Z determinacją zacisnęłam pięści, aż pobieleły mi knykcie. Bez dalszych rozważań ruszyłam w znanym mi kierunku. Zawsze pokonywałam tę trasę tramwajem. Dziś pozostały mi autonogi.

– Mamo! Co się dzieje?! – rzuciłam, ledwo przekroczywszy próg mieszkania. Byłam zgrzana i zdyszana. Co prawda udało mi się złapać ostatni tramwaj, lecz dojechał tylko do Mostu Gdańskiego. Stamtąd przybiegłam. – Mamo?! – Zarzuciłam kurtkę na oparcie fotela w pokoju. – Mamo! – wrzasnęłam w panice, przebiegając przez długi korytarz. Wpadłam do kuchni.

Moja matka stała oparta o parapet. Wpatrywała się smutnym wzrokiem w biały budynek teatru za oknem. Do ust przykładała tłącego się papierosa. Nie paliła, od kiedy zaszła w ciążę po raz pierwszy, dwadzieścia lat temu. Od czasu narodzin Filipa nawet do głowy jej nie przyszło, że mogłaby wrócić do palenia. Beztroskie czasy studenckich imprez i różnorakich używek miała za sobą. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Plecaki gotowe! – wysapał zdyszany Kuba, mój drugi brat. Spojrzał na mnie. – Pakuj najważniejsze rzeczy. Czekamy na tatę i wyjeżdżamy. Pojechał po Zośkę.

Jego słowa brzmiały tak irracjonalnie, że nawet nie drgnęłam. Przeniosłam spojrzenie z Kuby na mamę.

Wypuściła dym z płuc. Robiła to tak fachowo, jakby nigdy nie przestała. Jej długie, rude włosy spływały po plecach, szczupłych, wysportowanych. Mama zawsze starała się być *fit*.

– Mamo, ale o co chodzi? Co się dzieje? – pytałam błagalnym tonem. – Uciekłam ze szkoły. Chcieli nas schować w piwnicy. Na Pradze spadły bomby. BOMBY. Nikt nad niczym nie panuje. Co to były za wybuchy? Mamo!

Kuba przyglądał się matce w milczeniu. Też chciał znać odpowiedź. Do tej pory posłusznie wykonywał jej polecenia, ale nie był z natury uległy. Tym bardziej w sytuacji, gdy jakieś książkowo-filmowe scenerie rozgrywały się za oknem, za rogiem, a mama tkwiła z takim opanowaniem, jak gdyby doskonale wiedziała, co się działo.

Zgasiła papierosa w doniczce z kwiatkiem. To był dowód, że działo się źle. Mama dbała o kwiaty, dbała o porządek, nie znosiła niechlujstwa. Odwróciła się od okna i spojrzała na nas.

– Nie wiem, jak wam to powiedzieć, żebyście nie zadawali więcej pytań. Nie mamy teraz na to czasu – rzuciła, a jej głos zdrzął. – Mamy godzinę, żeby przedostać się na lotnisko i zapakować całą rodziną do samolotów ewakuacyjnych. – Przełknęła i podeszła do mnie. Spojrzała na Kubę. – Wasz ojciec powinien tu być lada chwila. Filip poszedł po babcię.

– Mamo... – szepnęłam, dotykając jej ręki. Ogniste włosy połaskotały mi dłoń. Były wszędzie. Z całej naszej czwórki tylko Zosia je odziedziczyła – moja najmłodsza, siedmioletnia siostra. Zobaczyłam ślady po wyschniętych łzach na policzku mamy. Płakała przed naszym przybyciem.

Moja mama nigdy nie płakała.

– Świat, jaki znamy, kończy się, kochani. – Głos ugrzął jej w gardle. – Nie potrafię wam wytłumaczyć wszystkiego, mogę tylko powiedzieć, że świat, jaki znacie, właśnie przestaje istnieć. Wasz ojciec będzie wiedział więcej... Ale teraz musimy szybko się spakować i przedostać na lotnisko, zanim odleci ostatni samolot.

Wymieniłam porozumiewawcze spojrzenie z Kubą. Z nim miałam zawsze najlepszy kontakt. Byliśmy jak bliźnięta – rozumieliśmy się bez słów – choć był ode mnie dwa lata starszy.

Pytania cisnęły się do głowy: dokąd odlecą samoloty? Jakim cudem rodzice o tym wiedzą?

Do naszych uszu doleciał dźwięk naciskanego nerwowo klaksonu. W ułamku sekundy mama zamieniła się w wyprężoną, spiętą i zdeterminowaną kobietę gotową na wszystko, by ocalić rodzinę przed niebezpieczeństwem. Doskoczyła do okna i wyjrzała zza firanki.

– To tata. – Spojrzała na nas. – Kuba, biegnij pomóc ojcu znieść skrzynie z piwnicy. Zabierz plecak swój, Filipa i ojca. Ula, ty bierz plecaki, swój i Zosi. Ja idę po torbę medyczną.

Torbę medyczną?! Od kiedy moja matka, architekt, ma torbę medyczną?!

Jej ton nie znosił sprzeciwu, a dodatkowo podświadomie wyczułam, że wszystko, co robi ma na celu wyciągnięcie nas z tego bagna. Bez słowa ruszyłam wykonać jej polecenie. Turystyczne plecaki wypchane po brzegi stały oparte o ścianę w przedpokoju. Jakim cudem spakowali je tak szybko?! A może były gotowe już wcześniej...?

– Weź buty górskie i najgrubszą kurtkę, jaką masz! – doleciał do mnie krzyk mamy.

Po chwili stała przede mną z wielkim plecakiem na plecach i patelnią pod pachą.

– Po co ci patelnia?

Uśmiechnęła się tylko tajemniczo. Ten uśmiech dodał mi otuchy.

– Nie czas na wyjaśnienia. Masz wszystko?

Nie miałam nic. Dopiero co wpadłam do domu!

Mama dostrzegła mój wzrok.

– Masz pięć minut – skwitowała twardym tonem i ruszyła do wyjścia. Wzięła plecak Zosi.

Zostałam sama w pokoju.

Przez pierwsze dziesięć sekund nie wiedziałam, co mam robić. Czy to był jakiś chory sen? Z kategorii podgorączkowych halucynacji? A może ćwiczenia? W szkole sporo było w ostatnich miesiącach ćwiczeń antyterrorystycznych. W całym mieście sprawdzano stan syren ewakuacyjnych, ale nikt nie brał tego na poważnie. Przynajmniej nie zwykli chlebozjadacze. Ale moi rodzice najwyraźniej do nich nie należeli.

Ocknęłam się po minucie. Logiczne myślenie powracało, rozum zaczynał właściwie funkcjonować. Rzuciłam spojrzenie na wypchany plecak przyniesiony przez Kubę z piwnicy. Rodzice musieli je przygotowywać od tygodni. Niczym wariaci od teorii spiskowych. Każdy zawierał wszystkie niezbędne rzeczy, nie było sensu bawić się w zgarnianie kolejnych ciepłych ubrań.

Rozejrzałam się po pokoju. Przez chwilę przeszło mi przez myśl, że... nigdy tu już nie wrócę. Że wszystkie bibeloty zbierane przez tyle lat – książki, płyty, pamiętki z wakacji, fotografie – przypadną! Tak po prostu.

Fotografie.

Podeszłam do ściany, na której wisiał tuzin zdjęć przedstawiających rodzinę, przyjaciół – twarze pełne szczęścia i utrwalonych ulotnych chwil. Momenty pełne wesołości, które udało się uchwycić i zachować. Wydawało się, że na zawsze.

Szybkim ruchem zaczęłam zdejmować ramki ze ściany i wrzucać je do płóciennej torby. Nie miałam czasu na wyciąganie każdej fotografii. Planowałam zrobić to w aucie. Z drewnianej szkatułki na komodzie wyjęłam złoty pierścionek z zielonym oczkiem. Należał do jednej z moich babć, nieżyjącej już. Wzięłam też łańcuszek. Oba przedmioty wepchnęłam do kieszeni dżinsów. Z głębin szafy wyciągnęłam puchówkę i mocne, górskie buty. Rozejrzałam się jeszcze raz po pokoju. Nie mogłam uwierzyć, jak szybko i łatwo zdewaluowały się wszystkie otaczające mnie przedmioty. Jak szybko, w obliczu bomb spadających na głowę, mogłam z nich zrezygnować. Ruszyłam w kierunku wyjścia. Po drodze zarzuciłam plecak na ramiona. Nie był aż tak ciężki.

Mijając pokój rodziców, zdecydowałam się jeszcze sprawdzić skrzynkę na biżuterię mamy. Była pusta. Dobrze. Sprawdziłam jeszcze szufladę w biurku taty. Nie znalazłam paszportów. Zabrał je. Dobrze. Zatem mogłam iść.

Wyszłam z domu i zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Jakby to mogło powstrzymać ewentualnych szabrowników. Zbiegłam ze schodów, nadal trzymając płócienną torbę, kurtkę i buty. Nie było czasu się przebierać. Dobrze, że tego dnia rano nie miałam kaprysu na mało praktyczną spódniczkę czy kozaki na koturnie.

Wypadłam na chodnik i ruszyłam pędem do bramy. Mieszkaliśmy na zielonym, przedwojennym osiedlu o budynkach ustawionych tak, aby tworzyły zamknięte podwórko. Jedna strona była otwarta na park, odgradzona wysokim, żelaznym płotem. Wiosną i latem płot porośnięty był pnączami, a podwórko zieleniło się krzewami

i kwiatami, starannie pielęgnowanymi przez pana dozorcę. Teraz ogród budził się do życia po zimowym śnie, lecz jeszcze nie rozbijał się na dobre. Żałowałam.

Wyskoczyłam za furtkę i dobiegłam do naszego volkswagena. Tata siedział za kierownicą i przeglądał w roztargnieniu nasze paszporty. Mama zapinała pas Zosi. Sama Zosia siedziała bardzo cichutko, z oczami wielkości pięciozłotówek.

Wskoczyłam na siedzenie obok Kuby, w ostatnim rzędzie.

– Gdzie jest Filip? Powinien już wrócić z babcią. – Głos mamy zdradzał zaniepokojenie.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Mama skończyła zapinanie Zosi i odwróciła się przodem do kierunku jazdy.

– Ile mamy czasu? – spytała tatę.

Spojrzał na nią przelotnie.

– Czterdzieści minut. Odlatują o piętnastej. Drugiej szansy nie dostaniemy. – Tata odwrócił się do Kuby i wyciągnął rękę ponad Zosią. – Kuba, bierz swój paszport. Ulka, ty swój. Na wypadek, gdybyśmy się w tłumie pogubili. – Mówiąc to, odwrócił się całkiem do nas i spojrzał każdemu głęboko w oczy. Był opanowany, ale stanowczy. – Posłuchajcie mnie teraz uważnie.

To był ten moment, kiedy świat definitywnie zwałił mi się na głowę.

– Kończy się świat, jaki znamy. Kilka miesięcy temu znajomy z firmy ostrzegł mnie, że przyjdzie moment, gdy wszystko się zmieni. Nie wyjawiał szczegółów. Zdradził mi to, bo uratowałam kiedyś jego córkę. Odwdzięczał się. Obiecał załatwić nam wszystkim miejsce w samolotach ewakuacyjnych. Dotrzymał słowa, mój zawód ma tu spore znaczenie. Od dziś tacy jak ja są potrzebni. – Ojciec zlustrował czujnym spojrzeniem okolicę. Zawiesił wzrok na przebiegających, spanikowanych przechodniach.

To wszystko znajdowało się poza obszarem mojego zrozumienia. Dawno nie czytałam tak wciągającej przygodówki.

Kuba gwizdnął lekko, ale nie było w tym żadnej prowokacji czy tak charakterystycznej dla niego lekkości.

– Dokąd mamy lecieć? – wyszeptalam, przerywając ciszę. – Wiemy?

Tata zmarszczył brwi. Nie wiedział.

– Mamy miejsca w samolocie z Warszawy. A co dalej... Zdajemy się na wojsko. Musimy wierzyć, że gdziekolwiek nas ewakuują, będziemy bezpieczni. Mamy szczęście, że w ogóle możemy się ewakuować.

Miałam mieszane uczucia, ale nic nie powiedziałam.

Do drzwi samochodu dopadł Filip. Kiedy jego długie nogi zapakowały się do auta, wysapał:

– Babcia nie jedzie.

Widziałam minę mamy, gdy to usłyszała.

– Jak to „nie jedzie”?! – Już chciała wysiąść z auta, gdy tata złapał ją mocno za przegub.

– To moja matka – wysyczała, wbijając w niego ostre, lodowate spojrzenie.

– A za tobą są twoje dzieci – odrzekł spokojnie. Nie spuszczał z niej wzroku. Był racjonalistą. Potrafił zimno kalkulować i działać pod presją. Spędził lata na misjach, jako lekarz wojskowy. Wiedział, co robi. – Sabina dokonała wyboru.

Filip dotknął ramienia mamy. Siedział przede mną, więc dokładnie widziałam ich miny. Wyciągnął do mamy dłoń. Coś trzymał.

– Prosiła, żeby ci to przekazać. Powiedziała, że przeżyła okupację i powstanie w Warszawie, potem lata komuny, i że przeżyje też to. Powiedziała, że mamy jechać i walczyć o życie. – Wręczył jej stary, znoszony zegarek.

Znałam historię tego zegarka. Należał do pradziadka Stanisława, który przeszedł z nim kampanię wrześniową, wywózkę na Sybir, morderczy marsz do armii Andersa, potem powrót do kraju przez zachód, a na końcu pięcioletnie więzienie. Pomimo tego, że zegarki były tak pożądane przez sowieckich żołdaków i kradli je na potęgę, pradziadkowi udało się go ukryć, a potem przywieźć z powrotem do domu. Gdy znów znalazł się w stolicy, okazało się, że była to jedyna pamiątka po jego ojcu, a zarazem dawnym życiu. Cała reszta spłonęła w powstaniu. Babcia zawsze powtarzała, że ten zegarek to szczęście i siła do walki w jednym. Sama przeszła w nim powojenne zmiany ustrojowe, głody, biedę, mróz nieopalonych powojennych mieszkań i obalenie komuny. Teraz zegarek leżał na roztrzęsionej dłoni mamy, która miała w planach życie spokojne i harmonijne, miała pracować, wychowywać dzieci, a nie wyruszać w kolejną pokoleniową tułaczkę w niewiadomą przyszłość.

Mama wpatrywała się otępiąłym wzrokiem w zegarek. Tymczasem tata nie marnował czasu. Zasunął i zablokował drzwi, tak aby nikt nie mógł wyjść z auta. Ani do niego wejść... Wcisnął pedał gazu.

Chwilę później gnaliśmy przez pogrążone w rosnącym chaosie ulice Warszawy.

– Dokąd jedziemy? – wyszeptała cicho mama. Pociągała nosem, płacząc ukradkiem.

– Na lotnisko na Bemowie – odparł, nie spuszczać oczu z drogi.

– Bemowo? Przecież to małe lotnisko...

– Tak, dla szybowców i małych, prywatnych samolotów. Ale dziś stamtąd będą latały samoloty czarterowe z ewakuowanymi.

– Kto o tym wie?

– Ten, kto ma znajomości... – uciął krótko.

Mama nie kontynuowała wątku. Miała zmarszczone brwi i zaciśnięte usta.

Pędziliśmy przez miasto. Za oknem rozpościerał się nieznany mi świat paniki, chaosu i początków zdziczenia. Niebezpieczeństwo budzi w ludziach najgorsze instynkty: ignorancję, skrajny egoizm, brutalność, perfidię... Ludzie wybijali szyby wystaw sklepowych, rabowali co się dało – najwięcej było ich przy sklepach spożywczych, ale i przy RTV i AGD kłębił się całkiem niezły tłumek.

Na co komu telewizor plazmowy w takim momencie?

Spojrzałam po kolei na wszystkich członków mojej rodziny. Mama i tata byli skupieni do granic możliwości. Ojciec kalkulował trzeźwo. Widziałam, jak mocno zaciskał ręce na kierownicy. Miał w CV niebezpieczne sytuacje, wiedział, co robić. Mama była kreatywną realistką. Bez złudzeń i podniosłych marzeń odczytywała rzeczywistość. Teraz kombinowała, co jeszcze może zrobić, żeby zapewnić rodzinie przetrwanie.

Kuba siedział w bezruchu, wpatrując się w obraz za oknem. Zazwyczaj starannie ułożone, krótkie włosy teraz miał rozwiane i powyginane na wszystkie strony. Na jego twarzy nie było śladu po szerokim uśmiechu, który podobno był niemal taki sam, jak mój. Wydawał się opanowany i bezemocjonalny. Przypominał w tej chwili ojca.

Za to tyczkowaty Filip spuścił głowę i wpatrywał się w swoje ściskane nerwowo dłonie. Nie potrafił funkcjonować pod presją, bywał nerwowy i niespokojny znacznie częściej niż inni ludzie.

Mała Zosia siedziała cicho, wodząc przerażonym spojrzeniem po dramacie rozgrywającym się na ulicy. Jej długie, rude włosy uwiązane w dwa grube warkoczki spoczywały ciężko na kolorowej bluzce z bajkową Elzą. Zosia nie płakała, nie wołała mamy czy taty. Wielkimi oczami chłonęła jak gąbka wszystkie obrazy.

Na Bemowo nie jechało się długo. Miałam jakieś piętnaście minut na przygotowanie się do wyjścia. Zdjęłam kozaki i zmieniłam je na buty górskie. Upewniłam się, że sznurowadła są mocno zawiązane. Schyliłam się do płóciennej torby. Wysypałam z niej wszystkie ramki z fotografiami. Kuba odwrócił wzrok w moją stronę i przyjrzał się zdjęciom w osłupieniu. Chciał coś powiedzieć, ale uciszyłam go ruchem ręki. Odwróciłam pierwszą ramkę. Kluczami podważałam haczyki przytrzymujące zdjęcia i wyciągałam je po kolei. Dziadkowie przed swoim domem, drudzy dziadkowie przy stole zastawionym urodzinowym obiadem, mama, tata, Zosia, Kuba i ja w otoczeniu ubranego w togę Filipa – zdjęcie zrobione na zakończenie jego liceum. Ja na plaży z Ewą i Karoliną – najlepszymi przyjaciółkami, ja na Giewoncie, Zosia i ja przed wielką twarzą Franza Kafki w Pradze, ja wśród kolegów i koleżanek na wycieczce szkolnej w Częstochowie. To zdjęcie zrobiono niedawno. Byliśmy na tej wycieczce zaledwie cztery miesiące temu.

Przejechałam wzrokiem po twarzach znajomych ze szkoły, uśmiechniętych chłopcach i dziewczynach. Przeszło mi przez myśl nostalgiczne pytanie – co się z nimi działo? Ilu z nich przeżyje te dni? Wtedy podziękowałam sobie za staroświeckie podejście do wywoływania zdjęć. Moi znajomi, którzy trzymali wszystko na komputerach i pendrive'ach stracą dane jak tylko wysiadzie prąd.

Gdy wyjęłam ostatnie zdjęcie z ramki, złożyłam wszystkie w plik i wsadziłam do swojego plecaka. Na samej górze przytwierdziłam zwiniętą w rulon puchówkę. Oparłam się plecami o siedzenie. Dopiero wtedy zauważyłam, że Kuba cały czas mnie obserwował. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę w milczeniu. Ani ja, ani on nie chcieliśmy generować pytań ze strony rodziców lub Filipa, więc milczeliśmy. Byliśmy przyzwyczajeni do rozumienia się bez słów, dlatego dobrze wiedziałam, co chodziło mu po głowie. Wzruszyłam tylko ramionami i przeniosłam wzrok za okno.

Dojeżdżaliśmy.

– Cholera jasna – usłyszałam nerwowy głos taty. Był spięty.

Przed nami rozpościerały się tłumy rozwścieczonych ludzi usiłujących dostać się na płytę lotniska. Wielu miało na ramionach wypchane plecaki, niektórzy ciągnęli za sobą walizki w różnych kolorach. Jakby wyjeżdżali na wakacje...

W tłumie było sporo dzieci.

– Myślałam, że tylko wtajemniczeni wiedzą o tym lotnisku – szepnęła z przerażeniem mama.

Nad naszymi głowami przeleciały dwa wojskowe helikoptery. Dwa kolejne startowały z lotniska przed nami.

– Nie miały być małe samoloty? – szepnęłam.

Nikt mi nie odpowiedział.

– Jeśli te helikoptery latają tak od dłuższego czasu, to nie da się tego ukryć – skwitował Filip. – Ludzie się dowiedzieli.

– Szlag by to – warknął ojciec. – Samochodem się nie przedostaniemy. Ścisk jest za duży. – Potoczył wzrokiem po ludziach, spojrzął w lusterko i sprawdził tyły. – Dobra. – Odwrócił się do nas. – Filip, bierzesz Zośkę i wysiadasz od strony mamy. Ula, Kuba, wy wychodzicie z mojej strony. Każdy pilnuje swojego plecaka i swojego towarzysza. Jasne?

Przytaknęliśmy szybko.

Ludzie zaczęli coraz mocniej napierać na auto. Aż się zatelepało na boki. Filip odpiął pas Zosi i szybko chwycił ją w ramiona. Oplotła rękę wokół jego szyi.

– Trzymaj się mocno – szepnął jej do ucha.

Przesunęłam się w stronę Kubę, w jednej ręce trzymając rączkę plecaka. Kątem oka dostrzegłam, jak tata wsuwał mamie do ręki... pistolet. Było dla mnie naturalne, że ojciec miał styczność z bronią. Pracował w wojsku, był na misjach. Ale wiedzieć, że miał z bronią styczność, a widzieć go z pistoletem w dłoni – to dwie różne kwestie.

– Ulka! – warknął szeptem Kuba. – Bier się w garść. Wyłazimy.

Odepchnął mocno drzwi, ignorując przekleństwa sypiące się z ust otaczających go ludzi. Miał ich w nosie.

Wyskoczyłam za nim. Narzuciłam plecak na ramiona. Dopiero wtedy dotarło do mnie to, czego nie słyszałam w aucie... Chaos i panika to nie tylko druzgocący obraz.

Wszędzie roznosiły się zmieszane odgłosy: paniczne krzyki, dziecięcy płacz, przekleństwa, z którymi nikt się nie krył. Do tego odgłosy eksplozji... Lotnisko oddzielały od miasta drzewa i wysokie bloki, które zasłaniały widok. Nie widziałam dymu pożarów, jakie rozszalały się w centrum, lecz wybuchy dochodzące z oddali świadczyły o coraz cięższej sytuacji. Kto z kim tam walczył? A może jedynym wrogiem były kilkotonowe żelastwa z brzuchem pełnym prochu i ładunków wybuchowych?

W ścisku wszyscy napierali na płot oddzielający ulicę od terenu lotniska. Brama była zamknięta, odrutowana świeżymi zasiekami i strzeżona przez wojskowych. Stare ogrodzenie musiało zostać wzniesione jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Nikt nie przewidywał, że małe lotnisko dla szybowców stanie się twierdzą.

Kuba był niewzruszony. Ignorował przekleństwa, twarde łokcie wbijane mu pod żebra i gromy ciskane z oczu, gdy torował nam drogę do bramy. Trzymałam się blisko niego. Nie widziałam rodziców ani Filipa z Zosią. Wszystko działo się tak błyskawicznie, że wielu szczegółów nie rejestrowałam. Dostrzegłam tylko twarze mijanych osób, wykrzywione z wściekłości i przerażenia, niektóre z rozpaczliwą nadzieją skierowane ku bramie. Niektóre oczy były zapłakane, niektóre usta poruszały się w niemej modlitwie.

Pierwszy do bramy dotarł Kuba. Spojrzął na żołnierza celującego z karabinu w stronę tłumu.

– Mamy przepustkę! Połczyńscy! Doktor Mirosław Połczyński! – wrzeszczał, bardziej do karabinu niż do żołnierza.

Lufa wyglądała złowieszczo, skierowana w jego klatkę piersiową.

Mężczyzna był nieubłagany.

– Noż kur... – Kuba przerwał w połowie, bo obok zjawił się tata i wyciągnął w stronę wartownika swoją legitymację. Przykuł jego uwagę.

Tak myślałam, że była to legitymacja.

– Mirosław Połczyński, numer 4567, od Kamila Bogusza. – Wyciągnął świstek papieru. – Sześć osób na siedem wpisanych.

Żołnierz sprawdzał chwilę dokument, po czym skinął na swojego kolegę i obaj podeszli do bramy. Jeden skierował lufę w stronę tłumu, drugi zaczął otwierać bramę.

– Proszę wchodzić, byle szybko – powiedział ten drugi.

– Odsunąć się! – wrzasnął pierwszy do napierających ludzi. – Bo zastrzelę!

Słowa te wbiły mi się w uszy jak drzazgi. Słyszałam je na filmach, w udawanych zabawach dzieci na placu przed domem, w głupich żartach, w grach komputerowych, ale żadne nie były tak sugestywne. Dreszcze przebiegły mi po plecach. Krew odpłynęła z twarzy. Miałam ochotę zwymiotować...

Poczułam ucisk na ręce. Kuba chwycił mnie za nadgarstek i wepchnął do bramy za mamą, Filipem i Zosią. Wsunął się tuż za mną. Na końcu wszedł ojciec. Gdy tylko przekroczył granicę, żołnierz trzymający karabin puścił serię w niebo. Tłum zawył i skulił się w sobie. Jeden z żołnierzy wykorzystał to i zamknął z powrotem bramę na kłódkę. Odwrócił się do ojca.

– Niech pan ich zabiera do helikoptera. Tam. – Wskazał na szereg czarnych maszyn, których śmigła były już w ruchu. – Długo nie wytrzymamy. Kończymy tę zabawę. – Machnął głową w kierunku tłumu za sobą.

Tata nie zadawał więcej pytań. Wziął Zosię na ręce.

– Za mną!

Ruszyliśmy pędem wzdłuż hangaru pełnego małych szybowców. Prywatnych samolotów nie było. Ich właściciele musieli już odlecieć. Wszędzie stali żołnierze, gotowi do strzału. Byli też tacy, którzy obsługiwali ewakuację: wskazywali drogę innym rodzinom, które miały fart, że wśród nich znajdował się ktoś ważny, ktoś z „dobrym” zawodem.

Dobiegliśmy do oficera kierującego ewakuacją. Ojciec zamienił z nim kilka słów i wskazał na swoją przepustkę. Oficer spojrział na nas. Przeliczył i skinął głową. Dobiegły do mnie ciche słowa taty: „A dokąd...?”. Odpowiedział mu przeczący ruch głowy oficera. Ojciec obrzucił nas kontrolnym spojrzeniem i machnął ręką. Pobiegliśmy za nim do jednej z maszyn.

Powietrze wzburzone przez śmigła uderzyło mnie w twarz. Słyszałam dudniący dźwięk zderzający się z wybuchami dochodzącymi z miasta. Co jakiś czas, coraz częściej, słychać było pojedyncze wystrzały spod bramy. Ludzie wariowali, żołnierze zaczęli wariować, świat wariował.

– Szybko – usłyszałam obcy głos. To żołnierz w helikopterze czekał na nas, byliśmy ostatni.

Zerknęłam do środka maszyny – widziałam kilka nieznanych mi twarzy. Ze wszystkich wylewały się strach i przerażenie.

Tata pomógł mamie wejść do środka i przekazał jej Zosię. Obie usiadły na wolnych fotelach i zaczęły zapinać pasy.

– Ulka. – Ojciec wyciągnął do mnie rękę.

Wdrapałam się. Helikopter był duży, wojskowy. Naprzeciw mnie siedział ciemnowłosy chłopak, chyba w moim wieku. Posłał mi krótki, niepewny uśmiech. Nie miałam siły go odwzajemnić. Byłam zbyt rozproszona, rozedrgana. Przypięłam pasy i przycisnęłam plecak do piersi. Chwilę później obok mnie siadł Kuba, za nim Filip. Tata dołączył ostatni.

Żołnierz zasunął drzwi i krzyknął do mikrofonu:

– Gotowy!

Czułam wibracje całej maszyny. Śmigła przyspieszyły do zawrotnego tempa, helikopter uniósł się – najpierw ociężałe, potem coraz lżej. Siedziałam pośrodku, ale widok z okna miałam znakomity. Wszyscy, a było nas kilkanaście osób, wpatrywaliśmy się w okno skierowane na miasto.

– Jezus Maria – powiedziała tęga kobieta siedząca naprzeciwko mnie, po prawej stronie.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech...

Tłum ludzi próbujących wbić się na lotnisko był dwa razy większy, niż kiedy tam dojechaliśmy. Pozostałe helikoptery również wznosiły się w powietrze. Gdy znaleźliśmy się wystarczająco wysoko, naszym oczom ukazał się widok jak z wojennych zdjęć. Nad Warszawą, w każdym jej zakątku, unosiły się słupy dymów. Na naszych oczach dwie eksplozje wyrzuciły w powietrze brązowo-pomarańczowy grzyb, który wypłynął w niebo wielkimi kłębami. Wpadł mi w oko jeden z oszklonych wieżowców w centrum. Płonął.

– O co tu chodzi...– Ciszę rozdarł głos może czterdziestoletniego mężczyzny w grubych okularach, siedzącego w najbardziej oddalonym ode mnie kącie.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy zadawali sobie to samo pytanie.

ROZDZIAŁ 3

Po jakichś dwudziestu minutach lotu urozmaiconego nagłymi skrętami i omijaniem terenów pochłoniętych ogniem, dotarliśmy do lotniska w Modlinie. Oddalone od miasta, nie było tak obleżone przez ludzi usiłujących wydostać się z bombardowanej stolicy. Lotnisko w Modlinie otaczały wysokie zasieki, oświetlały tysiące lamp, a przy tym z każdej strony obsadzili je uzbrojeni żołnierze.

Kilka samolotów grzało już silniki. Do każdej maszyny „podpięta” była długa kolejka cywilów dźwigających plecaki, walizki i tobołki.

Gdy wysiedliśmy z helikoptera, od razu podbiegł do nas oficer z listą w dłoni. Tata powtórzył mu niezbędne dane. Mężczyzna odhaczył nas na liście i wskazał na samolot.

Spojrzelśmy z Kubą po sobie. Przed nami rozgrzewał się Ryanair.

– Nie mieliśmy lecieć wojskowymi? – zapytał ojca Filip.

Tata wziął Zosię na ręce.

– Widać nie mają tyłu.

Ruszyliśmy w stronę końca kolejki do drugiej maszyny.

Tu nie było słyhać wystrzałów czy wybuchów. Nadchodzący wieczór nie wyłowił z oddali poświaty nad horyzontem. Nie było widać pożarów. Ludzie cierpliwie oczekiwali na swoją kolej. Żołnierze pilnowali porządku z napiętym opanowaniem. Byli gotowi, ale stonowani. Zupełne przeciwieństwo ich kolegów stacjonujących w mieście.

Przyjrzałam się ludziom dookoła. Całe rodziny. Rodziny ludzi o „dobrych” zawodach. Lekarze, inżynierowie, architekci, nauczyciele, naukowcy – ci, którzy mogą odbudować zniszczony świat.

– Wie pan, dokąd nas zabierają? – usłyszałam za sobą.

– Słyszałem, że gdzieś na zachód. Ale nikt nie chce powiedzieć nic bardziej konkretnego – odpowiedział inny, męski głos.

– A wie pan, o co tu w ogóle chodzi? Żadnych wzmianek o jakichś wojnach, konfliktach, zerwanych porozumieniach, ruchach wojsk i nagle takie rzeczy...?

– Panie, skąd ja mam wiedzieć! Wczoraj wróciłem z wakacji w Rzymie. Samoloty latały bez przeszkód. Nawet nas specjalnie na lotnisku nie sprawdzali. Tam też żadnych przygotowań do walki. – Facet był podirytowany.

Przestałam ich słuchać i zatopiłam się we własnych myślach.

Kolejka posuwała się powoli – chyba sprawdzali ludzi jeszcze przy samym wejściu. Obok mnie szedł Kuba. Wpatrywał się zielonymi oczami w tłum przed sobą. Ręce miał schowane w kieszeniach dżinsów. Wyglądał, jakby spacerował po parku. Filip szedł z tatą przodem. Zosia nadal ścisnęła ręce wokół szyi ojca. Była zmęczona. Brodę oparła na jego ramieniu i wodziła wielkimi oczami po ludziach. Gdy jej wzrok padł na mnie, posłałam jej ciepły, uspokajający uśmiech. Zużyłam na to cały zapas opanowania, jaki udało mi się zebrać.

Uśmiechnęła się.

Zosia była cichym dzieckiem. Nigdy nie sprawiała kłopotu, nie sprzeciwiała się rodzicom, wykonywała posłusznie wszystkie polecenia. Wśród koleżanek i kolegów ze szkoły cieszyła się opinią serdecznej koleżanki. Zawsze chciała pomóc, gdy zachodziła potrzeba. Nowe koleżanki obejmowała ochronnym ramieniem, płaczącym podawała chusteczki. Zawsze mnie zastanawiało, jakim cudem się uchowała w rzeczywistości pełnej liberalnej swawoli, gdzie dzieci dominowały nad rodzicami i nauczycielami, gdzie odczuwały wolność szybciej, niż chcieliby tego ich opiekunowie, gdzie kary i szlabany były dla nich chwilową zaledwie niedogodnością. Była najmłodsza z nas wszystkich, zawsze otaczana opieką, wyręczana we wszystkim w jakiś machinalny sposób. Nikomu z nas do głowy nie przyszło, że mogłoby to być niewychowawcze. Automatycznie podawaliśmy jej wszystko z górnych półek, podsadzaliśmy na wysokie stołki, zabieraliśmy ciężki plecak, gdy ugięła się pod nim, wracając ze szkoły. Mimo to, Zosia nigdy nie prosiła o pomoc – zawsze starała się radzić sobie sama. Zupełnie nie wiem, skąd ona się wzięła. Była moim przeciwieństwem.

Ja bywałam egoistyczna i leniwa w jej wieku. Żądałam tupnięciami i krzykiem, gdy czegoś nie mogłam dostać, wwierałam się płaczem w uszy rodziców. Do dziś wiele mi z tego zostało. Gdy czegoś nie mogłam osiągnąć i nikt mi w tym nie mógł pomóc, zostawiałam sprawę. Do celów dążyłam po linii najmniejszego oporu. Co innego Kuba. Ten to będzie wdrapywał się po drabinie, nieważne ile szczebelków po drodze mu wypadnie. Gdy był mały i chciał jakąś książkę z półki zbyt wysokiej na jego możliwości, kombinował, dopóki jej nie dostał. Mówił „ale ja chcę i koniec”, i nie było zmiłuj. Nawet jak mu dorośli odmówili pomocy. To „chcę i koniec” powodowało, że chodził własnymi ścieżkami, częściej sprzeciwiał się rodzicom, ale był też częściej dla ojca partnerem do dyskusji, jak równy z równym. Dobrze pamiętam moment, gdy tata zwyczajnie zapytał go o zdanie w sprawie zdecydowanie nie „dziecinnej”.

Filip był bardziej zbliżony do Zosi niż do mnie i Kuby. Bardziej zamknięty i bujający w obłokach. Gdy coś sobie zaplanował, dążył do tego uparcie, ale gdy jakiegos celu nie był stuprocentowo pewien, potrafił z niego zrezygnować. Zawodowo poszedł w ślady mamy – jeszcze wczoraj był studentem architektury.

Gdy kolejka zatrzymała się na dłużej, ojciec odwrócił się w naszą stronę.

– Posłuchajcie mnie uważnie – powiedział poważnym, ścisłym tonem.

Skupiliśmy się wokół niego.

– Nie wiem, gdzie lecimy. Wiem, że mają nas skierować do obozów przejściowych, a później do stref bezpieczeństwa. Musimy trzymać się razem. Może się jednak zdarzyć, że w tłumie, w panice, pogubimy się.

Mama zacisnęła mocniej usta.

– Gdyby do tego doszło, podawajcie moje imię i nazwisko, mówcie, że macie rodzinną przepustkę jako dzieci lekarza wojskowego. Zrozumiano?

Pokiwaliśmy posłusznie głowami.

Rysy twarzy ojca zrobiły się wyrazistsze, groźniejsze. Ściszył głos.

– Zaistniała sytuacja, która stawia nas przed wyborami: przetrwać albo dać przetrwać innym. Wybieramy tę pierwszą opcję. Każdy z was jest odpowiedzialny za siebie i swoją rodzinę, nikogo więcej. Interesuje was tylko przetrwanie rodziny. Rozumiecie, co do was mówię?

Skinęliśmy głowami. Wtedy nie docierało do mnie jeszcze w pełni, co wynikało z tych słów i co się z tym wiązało.

Kolejka ruszyła, mama dotknęła ramienia ojca. Odwrócił się i zrobił kilka kroków do przodu.

Sprawdzono nas przy wejściu. Wszystko się zgadzało. Weszliśmy na pokład samolotu. Dopiero stojąc na szczycie schodów, tuż przed wejściem do środka, zerknęłam w kierunku Warszawy. Ujrzałam wyraźną, jasną poświatę daleko na horyzoncie. Miasto płonęło.

Wiatr owionął mi twarz, rozwiął włosy. Powietrze nie było mroźne, lecz świeże, przyjemne. Wzięłam głęboki wdech.

Weszłam do samolotu.

Gdy wylądowaliśmy na osaczonym przez dzikie tłumy lotnisku, nie miałam pojęcia, gdzie się znajdowałam. Wiedziałam tylko, że było to lotnisko na terenie Niemiec. Świadczył o tym otaczający mnie zewsząd obcy język.

Po reakcji lecących z nami żołnierzy wywnioskowaliśmy, że nie spodziewali się tej paniki i chaosu, jakie zastali na miejscu. Wahali się przy otwieraniu drzwi, a nerwowe spojrzenia, jakie między sobą wymieniali, nie wróżyły dobrze. Schodząc wąskimi schodkami w dół, na płytę lotniska, czułam, jak w głowie pulsuje mi tępy ból. To, co działo się w Warszawie, było niczym. Cisza modlińskiego lotniska była jak cisza przed burzą. Na lotnisku w Niemczech wrzało jak w ulu. Wrzask tysięcy ludzi usiłujących dostać się do samolotów, które – jak im się wydawało – mogły ich zabrać w bezpieczne miejsce. Takich samolotów jak nasz było kilka, najwyżej dziesięć. Lotnisko nie było aż tak duże.

– Proszę przechodzić dalej – rozkazywał żołnierz sterujący ruchem wychodzących pasażerów. Wskazywał ręką na pole za samolotami, gdzie rozgrzewały silniki kolejne maszyny – tym razem dużo, dużo większe helikoptery. Widywałam takie tylko na corocznych paradach wojskowych.

Drugą dłoń żołnierz trzymał na spuście karabinu. Wystarczyła jedna iskra, by eksplodował, tak napięte miał mięśnie.

– Znowu przesiadka? – wymamrotał zawiedzionym głosem Filip. – Ile jeszcze? To bezsensu...

Ani mama, ani tata nie skomentowali jego słów. Byli podobnego zdania.

– Teraz nie możemy się wycofać. Idziemy dalej – skwitował ojciec, poprawiając w ramionach Zosię.

Mama odwróciła się dookoła własnej osi, sprawdzając, czy wszystkie dzieci były blisko. Spojrzała na mnie i w kącikach jej ust pojawił się nikły uśmiech.

– Będzie dobrze – szepnęła mi do ucha, otaczając ramieniem.

Poprawiłam plecak.

Doszliśmy do dwumetrowego, żelaznego płotu otaczającego teren z helikopterami. Tabliczki porozwieszane co kilka kroków informowały o podpięciu ogrodzenia do prądu, a namalowana czaszka sugestywnie odradzała doświadczalne dotykanie. Teren należał do wojska. Co pół metra stał wartownik z bronią w gotowości. Jakby na coś czekali.

Tata podszedł pierwszy do bramy i stanął w kolejce do „odprawy”. Tym razem sprawdzenie dokumentów trwało dłużej, dodatkowo uzupełnione o potwierdzanie tożsamości i zadawanie szczegółowych pytań. Co chwilę tata zerkał w naszą stronę, tłumacząc coś wartownikowi.

Odwróciłam się w stronę lotniska. Nocną ciemność zupełnie rozwiewały rozświetlone wszędzie, wysokie latarnie. Tam, gdzie znajdował się budynek cywilnego lotniska, rozpościerał się nieprzebrany tłum ludzi pulsujący energią i wolą przetrwania – wymieszaną z przerażeniem. Tysiące osób napierało na wysokie, prowizoryczne ogrodzenie. Szarpały rozpaczliwie mur dzielący ich od ratunku przed ogniem, pociskami, śmiercią. Ci ludzie też nie wiedzieli, co tak naprawdę się działo. Wiedzieli tylko, że z dnia na dzień w ich spokojnym świecie rozpętała się wojna – kto z kim walczył, nikt nie wiedział.

Żołnierze celowali w tłum, co jakiś czas wydając ostrzegawcze okrzyki. Nikt nie słuchał...

„Powinniśmy iść, i to szybko” – przeszło mi przez myśl instynktownie. Odwróciłam się do taty.

W tym momencie wartownik wpuścił nas na wojskowy teren. Najwyższy czas. Wskazał helikopter oddalony o kilkaset metrów. Ruszyliśmy w tamtym kierunku. Tata chował za pazuchę dokumenty.

– Weź Zosię, proszę. – Przekazał córkę mamie.

Huk wybuchu zatrzymał nas w pół kroku. Przyłgnięliśmy automatycznie do ziemi. Powietrze przeszyły krzyki i wrzaski – a raczej jeden wielki wrzask tysięcy ludzi.

Podniosłam głowę i spojrzałam w kierunku lotniska. Kolejny dreszcz grozy przebiegł mi po plecach.

Słup dymu i ognia unosił się nad halą odlotów. Wybuch zmobilizował przerażony tłum, który napał jeszcze wścieklej na ogrodzenie. Po chwili mur pękł. Ludzie wdarli się na płytę lotniska, w kilka minut zalewając otoczenie samolotów. Dzieliło nas od nich jeszcze jedno ogrodzenie pod prądem oraz szereg żołnierzy z karabinami. Celowali w ludzi.

– Jasna cholera! – wrzasnął tata, zrywając się z ziemi i biorąc z powrotem na ręce Zosię. Pociągnął mamę za ramię. – Uła, Filip, Kuba, ruchy, do cholery! – W jego głosie nie było ciepła, lecz pełna desperacji rodzicielska wola ocalenia dzieci.

Puściliśmy się pędem w stronę naszego helikoptera, pechowo zaparkowanego najdalej. Obok nas biegli inni, przeznaczeni przez nie wiadomo kogo, do przetrwania... Biegłam ostatnia, co chwilę odwracając się za siebie.

Tłum dopadł do ogrodzenia. Pierwszy rząd najszybciej biegających posmakował prądu. Kolejna fala wściekłego wrzasku. Wiedziałam, że ogrodzenie długo nie wytrzyma...

Ludzie dobiegali do helikopterów i z pomocą żołnierzy ładowali się do środka. Gdy helikopter był pełen, podnosił się bez zwłoki. Maszyny jak małe robaczki unosiły się co kilka minut. Zauważyłam, że nasz helikopter rozgrzewał już silnik...

Ojciec dotarł do niego pierwszy i nie zatrzymując się, wrzucił do środka Zosię. Sekundę później wpełznął bezceremonialnie mamę – był niesamowicie szybki, działał bez zastanowienia, jak na polu walki... Zaczynałam rozumieć, dlaczego był dla wojska tak cennym „nabytkiem”, który próbowali ratować. I to z rodziną.

Nie wiem, jak to się stało, ale zostałam w tyle. Przede mną do helikoptera ładowało się już kilka osób, które nie zdołały dostać się do swoich maszyn. Helikopter miał ograniczoną pojemność, a w obecnej chwili obowiązywała zasada „kto pierwszy, ten lepszy”. Nie byłam pierwsza.

– Ulka! Ruchy! Biegiem! – słyszałam głosy Kuby i ojca.

Biegłam co tchu, ale helikopter był tak daleko... Nie usłyszałam, kiedy generator z prądem eksplodował, syjąc iskry na głowy ludzi, i kiedy tłum przedarł się przez kolejne ogrodzenie. Czułam, że coś jest nie tak po energii, z jaką dopingowali mnie, siedzący już w helikopterze, Kuba i ojciec. Tuż przede mną biegła kobieta z małym chłopcem na rękach. Migotały mi jego jasne, rozwiane włosy. Obserwował świat za plecami matki z przerażeniem w oczach. Kobieta była młoda, sama. Nikt jej nie nawoływał. Zwróciłam na nią uwagę kilka sekund przed tym, jak potknęła się i upadła na beton razem z dzieckiem.

To, co się potem działo, było zupełnie poza mną. Nie kontrolowałam zachowania, nie myślałam o tym, co robiłam, ręce i nogi same działały...

Ignorując wrzaski ojca, który coraz wścieklej coś mi rozkazywał, wyhamowałam błyskawicznie przed kobietą. Była wyczerpana, nie miała siły się podnieść. Jej synek drżał ze strachu, ale nie płakał.

– Wstawaj, już! – warknęłam i bezceremonialnie podniosłam chłopca na ręce. Pewnie i tak nie mówiła po polsku, nie rozumiała mnie. Twarz miała zrytą od uderzenia, z nosa obficie sączyła się krew. Poczułam jak węż, drżące rączki zaciskają się wokół mojej szyi.

– BIEGNIJ! – wrzasnęłam do kobiety przez ramię, znów biegnąc przed siebie. Jego matka nie miała sił i jej szanse uratowania były mniejsze niż zero. Za to ja czułam w sobie energię, tę resztkę, która pozwoliła mi złapać chłopca i pędzić dalej. Nie zastanawiałam się nad bólem, który mogłam spowodować, rozdzielając matkę z dzieckiem, nad traumą, która w chłopcu zostanie do końca życia. Wtedy podświadomość przedstawiała mi tylko jedną wizję: że on będzie żył i że miałam na to realny wpływ. To drugie było kluczowe...

Wtem z przerażeniem dostrzegłam, że helikopter unosił się...

Zakląłam. Biegłam szybko, bardzo szybko, nie wiedziałam, że potrafię tak biegać...

Kobieta została daleko w tyle. Kuba i tata dopingowali z coraz większą werwą. Pilot ignorował rozkazy ojca, gdy ten kazał mu zaczekać. Widział zza przedniej szyby, co nadciągało ze strony hali odlotów. Tłum był blisko...

„Ja nie chcę tu zostać” – przeleciało mi przez głowę. – „Ja nie chcę, ja nie mogę, nie chcę umierać”. – Nie mówiłam tego na głos. Zacisnęłam ręce mocniej wokół chłopca i zrobiłam ostatni decydujący krok w kierunku helikoptera. Miałam nadzieję, że ktoś mnie złapie, bo sama nie miałam najmniejszych szans utrzymać się na szynie...

– Trzymaj się, mały – szepnęłam do chłopca i wyczułam, jak przyłgnął do mnie mocno.

A jednak złapałam się szyny. Złapałam obiema rękami. Za to chłopiec trzymał się mnie.

Byliśmy kilka metrów nad powierzchnią. Wzburzony przez śmigło wiatr rozwiewał mi włosy, wpadał do otwartych ust. Nie mogłam się wciągnąć sama, mogłam tylko zwisać... Spojrzałam w dół...

Tłum pokrył całą przestrzeń, którą przed chwilą zajmował helikopter. Widziałam zalane łzami twarze kobiet i mężczyzn, którzy wpatrywali się w nas z przerażeniem, wyciągali ręce w naszą stronę, jakby licząc, że zawrócimy, reagując na ich błagalne spojrzenia...

Kolejny wybuch na hali odlotów był potężniejszy od poprzedniego. Siła powietrza przygwoździła ludzi do ziemi, a helikoptery zachwiały się niebezpiecznie.

– Tatoooo! – wrzasnęłam ile sił w płucach. Podniosłam oczy do góry i ujrzałam twarz ojca. Zaciętą, twardą, nieugiętą. – Ja się nie utrzymam!

– Utrzymasz! – odkrzyknął, jednocześnie odwracając się co chwilę w stronę wnętrza helikoptera. Coś kombinowali.

Ramiona mi drżały, drżały coraz bardziej... Nie miałam już siły. Jeśli czegoś zaraz nie wymyślą... Dlaczego ten helikopter jest taki wielki? Gdyby był mniejszy, ktoś mógłby się po prostu po mnie schylić... Ja nie chcę umierać... TATO!

Ciało miałam jak z ołowiu, przedramiona drżały złowrogo. Wiotczały z wysiłku.

– Nie mam już sił... – szepnęłam w przestrzeń, sama do siebie, do powietrza, do szyny helikoptera. Serce waliło w piersi jak oszalałe, oddech był tak szybki i płytki, że zaczęło mi się kręcić w głowie. Przed oczami miałam mroczki... – Ra... ratuj, proszę – wymamrotałam znów. Widziałam twarz ojca cały czas.

Ręce ześlizgnęły mi się z szyny. Puściłam. Tak po prostu.

Ogłuszające „NIE!” wielu osób doleciało jeszcze do moich uszu. Ostatkiem sił podniosłam wzrok ku górze. Widziałam wykręconą w grymasie przerażenia twarz ojca wystającą z helikoptera, wielkie, pełne zdumienia oczy Kuby. Nie widziałam nikogo więcej, ale słyszałam głos matki wołającej mnie po imieniu.

– Ulka!!!

Oglądałam wielokrotnie hollywoodzkie filmy, gdzie bohaterowie spadali z wysokości w zwolnionym tempie, widząc twarze pozostawianych w górze ludzi, jak to wyłapywali każdą zmarszczkę, każdy gest, ruch warg, wzrok. Czytałam też w książkach, jak to „całe życie przelatywało człowiekowi przed oczami, gdy ocierał się o śmierć”.

Pierwsze to prawda. Na drugie nie miałam czasu. Upadek równał się utracie przytomności. Czułam tylko lekkość.

Nie musiałam się już wysilać.